

Trzy garnitury Gliwickiej Delegatury NSZZ „Solidarność”

[Andrzej Jarczewski](#)

(aktualizacja: 27.11.2016)

Wstęp

Robocze wersje artykułów na temat stanu wojennego w Gliwicach zacząłem publikować ćwierć wieku po opisywanych wydarzeniach, czyli w roku 2007 na stronie: www.ajarczewski.republika.pl

19.11.2009 odbyła się w Muzeum w Gliwicach konferencja naukowa **Władza, polityka i społeczeństwo w Gliwicach w latach 1939-1989** z referatami, które opublikował IPN w roku 2010. Przedstawiłem wtedy najważniejsze ówczesne ustalenia¹. Publikacja nie zakończyła badań². Tekst jest systematycznie aktualizowany, co zaznaczam powyżej.

¹ Jarczewski A., Trzy garnitury Gliwickiej Delegatury NSZZ „Solidarność”, [w:] Tracz B. (red.), Władza, polityka i społeczeństwo w Gliwicach w latach 1939-1989, Oddział Instytutu Pamięi Narodowej w Katowicach, Muzeum w Gliwicach, Katowice-Gliwice 2010, ss. 218-241.

² Najważniejsze dla niniejszego referatu informacje zawarte są w następujących zbiorach dokumentów. IPN Ka 030/280 – Sprawa obiektowa, kryptonim „KOMISJA” (dot. Delegatury). IPN Ka 030/222 – Sprawa obiektowa „SAMODZIELNI” (dot. NZS-u na Politechnice Śląskiej). IPN Ka 00170/682 (agentura w Delegaturze). IPN Ka 048/709 – Kwestionariusz ewidencyjny KE, kryptonim „REDAKTOR” (dot. inwigilacji Andrzeja Jarczewskiego). Ponadto – Sprawa Operacyjnego Rozpracowania kryptonim „WIOSNA” (dot. rozpracowania AGO) oraz Sprawa Operacyjnego Rozpracowania kryptonim „BALON” (dot. „poczty balonowej”, „Manifestacji Gliwickiej” i działalności Delegatury do r. 1985). IPN Ka 029/718 t. I-III (od r. 1985: kontynuacja SOR „Balon”; akta śledztwa, zakończono w roku 1986 wyrokami po 2 lata więzienia dla 5 osób).

Dochodzenie do prawdy, długi czas niemożliwe lub niepewne, nabrało wiarygodności z chwilą uzyskania przez wielu działaczy dostępu do esbeckich dokumentów, zarchiwizowanych w IPN. Niniejszy tekst wielokrotnie poprawiałem i uzupełniałem w miarę zdobywania nowych informacji. Kopie starszych wersji pojawiają się też na różnych stronach internetowych, niekiedy – zapewne przez nieuwagę webmasterów – jako dzieła innego autorstwa.

Fragmenty, dotyczące uczelni³ i Akademickiej Grupy Oporu⁴, ukazały się w pełniejszej wersji w roku 2009 w [Biuletynie Politechniki Śląskiej](#) w cyklu *Gliwickie Miesiące*.

Niniejszy referat nie jest dziełem historyka, a raczej – wspomaganym dokumentami – zapisem pamięci działaczy trzech pierwszych garniturów Gliwickiej Delegatury NSZZ *Solidarność* ze szczególnie starannym opracowaniem relacji ówczesnego **szefa podziemnej Delegatury – [Tadeusza Drzazgowskiego](#)**. Moje nazwisko będzie tu wymieniane w kontekście historycznym na takich prawach, jak inne nazwiska, natomiast tam, gdzie – po kilkudziesięciu latach – występuję jako autor, piszę w osobie pierwszej.

Jak się szyły garnitury

Musiałoby upłynąć prawie 30 lat, by na jaw wyszła informacja, że **pierwszy garnitur** Gliwickiej Delegatury NSZZ *Solidarność* skroila, uszyła, założyła i zdjęła... bezpieka! Szok. Tego się nikt – aż do listopada 2009 – nie spodziewał. W roku 1980 byliśmy tak zaaferowani ogromem zadań, które spadły na nas nieprzygotowanych, że nikomu

³ Jarczewski A., [Sierpień po wrześniu na Politechnice](#), „Biuletyn Politechniki Śląskiej” nr 8-9/2009 (tekst dotyczy września 1980 i sierpnia 1982).

⁴ Jarczewski A., *Podziemne radio i dylemat Galileusza*, „Biuletyn Politechniki Śląskiej” nr 10/2009, [str. 1 i 2](#), oraz [str. 3 i 4](#) (o Gliwickiej Radiostacji „Solidarność” z roku 1982).

do głowy nawet nie przyszło podejrzewanie kogokolwiek o agenturalne działanie. Z kolei, gdy wprowadzono stan wojenny, natychmiast zapomniano się o całym legalnym okresie *Solidarności*, a nowe problemy nie pozwalały wracać myślą do niedawnej przeszłości. Temat **pierwszego garnituru** legalnej Delegatury „wyparował”. I dopiero teraz „skroplił się” w dokumentach, ujawnionych przez IPN.

Drugi Garnitur – pisany wielką literą – pojawił się nagle i niespodziewanie w nocy z 12 na 13 grudnia 1981. Bez żadnego przygotowania, bez projektu i bez namysłu. Zszywał się sam z takiego materiału, jaki udało się zebrać bezpiece sprzed nosa. Działał kilka miesięcy, stopniowo wyzbywając się swej nazwy w kolejnych akcjach i biuletynach, a działacze tracąc wskutek aresztowań, internowań i utraty motywacji, choć w kilku przypadkach decydowało też zdrowie, a niekiedy – trudna sytuacja rodzinna.

W kwietniu 1982 ostatecznie ukształtował się **garnitur trzeci**, znów pisany małymi literami, gdyż ta nazwa w ogóle nie była używana. Od heroicznego Drugiego Garnituru trzeci różnił się składem, uporządkowaną organizacją wewnętrzną i sprawnym sposobem dowodzenia. W roku 1983 Delegatura założyła **czwarty garnitur**, a w 1989 – **piąty**, całkiem legalny, ale ten okres wykracza już poza tę relację.

Garnitur I, chaotyczny

Związek zawodowy „Solidarność” zakładano od razu jako strukturę terytorialną (nie branżową), co z punktu widzenia walki z komunizmem miało istotne znaczenie. Krajowej centrali NSZZ „S” (zmieniające się nazwy i kompetencje tej centrali nie mogą być tu opisywane) podlegały zarządy regionów, a niżej w zasadzie były już tylko komisje zakładowe. Jednak w wielu miastach zaraz po powstaniu „Solidarności” – w październiku, listopadzie 1980 – zaczęto

tworzyć struktury terenowe, zwane delegaturami regionów związkowych. Tak stało się również w Gliwicach. Delegatura była swego rodzaju „strukturą poziomą”, niepotrzebną Regionowi, ale ważną dla miasta i dla – jak nam się wtedy wydawało – oddolnego budowania demokracji.

Komisje zakładowe NSZZ (początkowo bez „Solidarności” w nazwie) powstawały we wrześniu 1980 w każdym chyba większym zakładzie pracy. Natychmiast też przystępowały do samoorganizacji i próbowały zakotwiczyć się w jednej z kilku tworzonych wówczas regionalnych central związkowych, zwanych Międzyzakładowymi Komitetami Założycielskimi (MKZ) lub Robotniczymi (MKR). Gliwiczanie mieli do wyboru: albo MKR w Jastrzębiu, albo MKZ w Hucie Katowice. Szybko jednak pojawiły się kłopoty. MKZ-ety były przeciążone problemami setek komisji zakładowych, a czuło się potrzebę łączności ze związkowcami zakładów terytorialnie bliskich.

Działacze byli zaangażowani w sprawy zakładowe i nie mieli czasu na spotkania integracyjne. Tu swoją szansę zwiędziła bezpieka. Można było zagospodarować część agentury, zwłaszcza tych TW, którzy w swoich zakładach jakoś się wyróżnili, ale nie osiągnęli najważniejszych funkcji. Celem tego działania, jasno wyłożonym w kolejnych projektach i analizach gier operacyjnych SB, było stworzenie ogniwa pośredniego, które by – jak pisano – *neutralizowało negatywną działalność MKZ* i osłabiało pozycję związkową [Andrzeja Rozpłochowskiego](#), ówczesnego przewodniczącego „Solidarności” w Hucie Katowice. Jastrzębski MKR został bowiem zinfiltrowany przez bezpiekę od razu i znaczną część działalności prowadził pod dyktando PZPR, natomiast A. Rozpłochowski, przewodzący katowickiemu MKZ-etowi, skutecznie opierał się wpływowi komunistycznej władzy. W Gliwicach usiłowano stworzyć organizację, która mogłaby podważyć przywództwo Rozpłochowskiego.

Nasza struktura miała się początkowo nazywać „Komisją NSZZ *Solidarność* ds. Miasta Gliwice”. Zadanie utworzenia i przechwycenia tej organizacji powierzono pięciu tajnym współpracownikom SB, których dalej będę nazywał agentami, gdyż ich rola polegała nie tylko na donoszeniu, ale przede wszystkim – na działaniu. Byli to więc klasyczni agenci wpływu, tworzący w Gliwicach coś na kształt miniaturowy V Komendy WiN-u. Pseudonimy tych ludzi to: PIOTR, TROJKA, MAX, PAJĘCZARZ i MAREK. Nazwiska pierwszej czwórki zostały już rozszyfrowane, natomiast co do piątego – na razie nie ma pewności, bo wśród tajnych współpracowników bezpieki było kilku „Marków”, w tym kobieta.

Piotr – to Andrzej Piotr Rachwał, ur. 30.02.1952, podstawa pozyskania: dobrowolność.

Trójka – to Bogusław Caban, ur. 18.01.1953, zwerbowany dla korzyści materialnych.

Max – to Marek Paweł Suchoszek, ur. 07.11.1952, podstawa: korzyści osobiste.

Pajęczarz (pisany na ogół z błędem: PAJĘCZAŻ) – to Henryk Jurczyk, ur. 25.11.1951, podstawa pozyskania: dobrowolność. Ten agent był szczególnie szkodliwy, gdyż od razu objął funkcję przewodniczącego Delegatury, którą sprawował do października 1981. Wtedy to odbyły się już normalne wybory, ale agentura była zbyt słaba, by utrzymać najważniejsze funkcje (przewodniczącym Delegatury wybrano wtedy Franciszka Trefflera z Prosynchemu). Jurczyk miał zapasowe klucze do siedziby Delegatury i oczywiście przekazał je SB, co ułatwiło działania 13.12.1981.

Pięciu agentom wyznaczono ciekawe zadania. Po pierwsze – mieli kolportować i nagłaśniać sprawozdanie TKKZ (dywersyjny twór, zainspirowany przez bezpiekę wewnątrz katowickiej MKZ), sporządzone tak, by szkodziło reputacji [Andrzeja Rozpłochowskiego](#). A w Gliwicach należało

pchnąć działalność związkową na tory neutralne. Dać ludziom zajęcie przy naprawianiu tego, co w tamtym ustroju było nienaprawialne. Innymi słowy – zatrudnić działaczy do prac syzyfowych. Warto wymienić te prace tak, jak zapisywano je w esbeckich raportach (Sprawa obiektowa, krypt. „KOMISJA”, IPN Ka 030/280, k. 16).

- *Kontrole zaopatrzenia i dystrybucji towarów masowego spożycia.*
- *Kontrola wykorzystania pustostanów lokalowych.*
- *Organizowania akcji charytatywno-społecznych.*
- *Zagospodarowanie terenów wokół nowych osiedli mieszkaniowych.*
- *Modernizacja układu komunikacyjnego w mieście.*
- *Poprawa opieki zdrowotnej w mieście.*
- *Walka z biurokracją.*

Tematy całkiem poprawne. Tu jednak chodziło o wywołanie krzątaniny wokół spraw nieszkodliwych w celu:

odciągnięcia Delegatury – a tym samym „Solidarności” gliwickiej – od problematyki politycznej i poprzez posiadaną agenturę ukierunkować działalność Delegatury.

Tak to otwarcie sformułował Insp. Operac. Wydz. III „A” ppor. Ireneusz ŁYSIK, a zatwierdził ppłk magister Wł. Fabian. Kolejne zadanie ppor. Łysik sformułował tak:

*W celu niedopuszczenia do wyboru osób o nastawieniu wrogim na I Walny Zjazd Delegatów Zarządu Regionalnego w Katowicach, poprzez posiadaną agenturę oraz wydawnictwo „Nowy Metalowiec” prowadzić akcję popularyzującą kandydatów pozytywnych oraz **działania specjalne, zmierzające do eliminacji kandydatów negatywnych.***

Warto odnotować, że tego typu wytyczne stosowane są do dziś w wielu gazetach. Świetnie to inspektor podporucznik sformułował. Wówczas jednak – wobec autentycznie masowego zrywu o zdecydowanie antykomunistycznym kierunku – partia dążyła do opanowania przede wszystkim władz organizacyjnych nowego związku zawodowego na różnych szczeblach, ale też nie zaniedbała sprawowania

kontroli nad rodzącą się zupełnie nową „czwartą władzą”, czyli nad związkowymi gazetkami, radiowęzłami i drukarniami. „Nowy Metalowiec” został natychmiast obsadzony przez agentów, co w zakładzie produkującym czołgi („Bumar”) było, czy raczej powinno być, łatwe do przewidzenia. Wówczas jednak aż tacy przewidujący nie byliśmy. Ludzie ufali ludziom. Byliśmy naprawdę szczęśliwi, mogąc komukolwiek zaufać. Jak teraz się okazuje – ta ufność została kolejny raz nadużyta.

Sam zresztą dałem się na to nabrać i – poprzez Bogusława Cabana, czyli agenta „Trójkę” – umieściłem jeden artykuł w „**Nowym Metalowcu**” nr 16 z 5.03.1981. Był to zupełnie neutralny tekst o tematyce kulturalnej z pewnymi propozycjami, dotyczącymi animacji życia twórczego w Gliwicach (tu jest link do przedruku: [str. 1](#), [str. 2](#)).

Następny artykuł już się nie ukazał, bo – jak mi wyjaśniano – „są pewne trudności”. Nie dociekałem, co to za trudności i dalsze teksty lokowałem w biuletynie Politechniki. Tu jednak wpadłem z deszczu pod rynnę, gdyż założycielem i redaktorem naczelnym tego pisma był kolejny agent bezpieczeństwa z lat siedemdziesiątych – Tadeusz Grabowiecki, postać wyjątkowo obłudna. Wtedy jednak doskonale z nim współpracowałem, pełniąc (nieodpłatnie) funkcje redaktora technicznego tygodnika o tytule „Informator NSZZ ‘Solidarność’ Politechniki Śląskiej”.

Tadeusz Grabowiecki dostarczał teksty, a ja robiłem z tego gazetę, dodając własne artykuły. Zawsze mnie dziwiło, skąd Grabowiecki miał tak dobre opracowania, pochodzące niekiedy z zupełnie niedostępnych źródeł. Nasz „Informator” miał od kilkunastu do kilkudziesięciu stron i zawierał w większości przedruki z innych gazetek związkowych. Może ktoś kiedyś zbada, jakie treści dominowały wśród tych przedruków. Ja nie dostrzegałem tam niczego złego, ale nie znałem kontekstu.

Kto jednak zabawia się prowokacjami – powinien oczekiwać również niezaplanowanych skutków. Nad prawdziwym entuzjazmem zapanować trudno. Jednym z ważniejszych sukcesów pierwszego garnituru naszej Delegatury było „wyrwanie” partii budynku przy ul. Kościuszki 1 (szykowanego na pałac PZPR) i doprowadzenie do przeznaczenia tego obiektu na szpital położniczy. Udział w różnorodnych staraniach i naciskach, związanych z tą operacją, brało wiele osób, wytworzyły się liczne nieformalne więzi, które trwały i po 13 grudnia. Walka o szpital była pierwszym masowym, ukierunkowanym na jasno określony cel, starciem z komuną w Gliwicach.

Sformalizowanego przywództwa nie powołano. Każdy brał na siebie taką część zadania, w jakiej mógł być efektywny. Zaowocowało to więziami, które przetrwały lata.

Warto w tym miejscu zacytować Janusza Mazurka, który w roku 2016 przysłał mi swoją relację z... Majorki, dokąd wyemigrował po internowaniu w stanie wojennym.

W styczniu 1981 miał urodzić się mój synus. W okropnych warunkach Szpitala Miejskiego nr 1, w którym co kilka miesięcy wybuchały epidemie na oddziale noworodków i niemowlęta umierały z niewiadomych powodów. Mieliliśmy szczęście. Nasz syn wrócił do domu cały i zdrowy. W tym samym czasie, w niezwykłym jak na owe czasy tempie, powstawał budynek nowego domu partii. Nawet budowa była wzorcowa. Obserwowałem ją często, przechodząc lub przejeżdżając obok. Dlaczego partia ma mieć nowy gmach, a dzieci mają umierać? Takie zadałem sobie i innym pytanie. W redakcji „Nowin Gliwickich” dostałem egzemplarz artykułu sprzed kilku miesięcy o epidemiach w szpitalu miejskim, a znajoma lekarka, pracująca w Szpitalu Miejskim, dorzuciła mi nieco statystyk. Napisałem petycję i z tą petycją jeździłem po wszystkich zakładach pracy miasta, prosząc kolegów z „Solidarności” o zbieranie podpisów. Nazbieraliśmy kilka grubych teczek. Myślę, że było tych podpisów kilkanaście tysięcy. Teczki przekazałem podczas pertraktacji z komisją rządową wicepremierowi Aleksandrowi Kopciowi. Obiecał, że załatwi... I dotrzymał słowa.

Z ramienia Delegatury „odbijanie pałacu” pilotowali lekarze: [Władysław Kostrzewski](#) i śp. [Bogusław Choina](#). Posunęli oni sprawę tak daleko, że nawet po wprowadzeniu stanu wojennego nie dało się już powrócić do starej koncepcji „Domu Partii”. Podobnym sukcesem zakończyła się walka o odzyskanie domu szkoleń ZSMP i urządzenie tam przedszkola (ul. Sienkiewicza 9). Duszą tych działań był również Władysław Kostrzewski. Ponadto – na wniosek Andrzeja Maja-Majewskiego odzyskano dla służby zdrowia budynek kręgielni przy ul. Dębowej i doprowadzono do przekształcenia go w zakład psychiatryczny, funkcjonujący po rozbudowie do dziś (CZPiLU).

*

Kończąc ten wątek, należy dodać, że szpital położniczy ostatecznie oddano do użytku dopiero w lipcu 1986, gdy już demograficzny wyż powoli się kończył. Nie zmienia to faktu, że szpital był miastu niezwykle potrzebny. Do dziś jednak nie uporano się z wszystkimi niewygodami, jakie są skutkiem wprowadzania szpitala do budynku, projektowanego z myślą o niasiadówkach partyjnych dygnitarzy, a nie o przyjmowaniu nowo narodzonych dzieci.

*

Tylko skrupulatnym zapisom oficerów bezpieczeństwa zawdzięczamy przypomnienie daty utworzenia Delegatury, jeszcze jako „Komisji NSZZ *Solidarność* ds. Miasta Gliwice”. Zebranie przedstawicieli gliwickich ZKZ-etów (Zakładowych Komitetów Założycielskich) odbyło się 04.11.1980 w świetlicy ZNTK. Katowicki MKZ z Rozpłochowskim nie chciał zarejestrować tej Komisji, więc wykorzystano rozbitcie „Solidarności” na Śląsku i zarejestrowano Komisję 18 lutego 1981 w MKR Jastrzębie. Należy tu przypomnieć, że, w przeciwieństwie do MKZ-etu katowickiego, MKR był wtedy silnie zinfiltrowany przez agentów bezpieczeństwa.

(Konferencja 19.11.2009 odbywa się w Muzeum, warto więc odnotować, że – według SB – w działaniach Komisji ds. Miasta Gliwice uczestniczyły m.in. dwie ówczesne muzealniczki: Ewa Andruszków i Ewa Zamojska oraz obecny pracownik Muzeum, [Andrzej Jarczewski](#), angażowany wtedy do pisania różnych listów, wniosków i sprawozdań).

Garnitur II, heroiczny

Po wprowadzeniu stanu wojennego – oprócz Drugiego Garnituru Gliwickiej Delegatury – w mieście działały również inne grupy konspiracyjne. Część z nich opublikowała już swoje sprawozdania i wspomnienia. Tu mowa będzie tylko o głównym nurcie, płynącym z różnym natężeniem od 13.12.1981 aż do lat dziewięćdziesiątych, kiedy to likwidowano ostatnie pozostałości konspiracji, utrzymywanej jako „odwód naczelnego dowództwa” na wypadek, gdyby zrealizowało się hasło: *komuno wróć!*

12 grudnia 1981 po godz. 23.00 do Władysława Kostrzewskiego, anestezjologa, dyżurującego wówczas w Szpitalu Miejskim nr 1 w Gliwicach, przyszedł inny lekarz, Krzysztof Rajpert, członek regionalnych władz „Solidarności”, który dowiedział się o nieokreślonym zagrożeniu ze strony władz (wyłączone telefony, nietypowy ruch na ulicach itp.).

Kostrzewski był wówczas przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „S” w gliwickiej służbie zdrowia (ZOZ). Postanowił pilnie zebrać działaczy i wspólnie z nimi zastanowić się nad tym, co robić w pogarszającej się z minuty na minutę sytuacji. W tym celu już w sobotę 12 grudnia przed północą jeździł karetką pogotowia do domów działaczy, których znał, i przewoził ich do szpitala, gdzie miała się odbyć narada. Były to następujące osoby: Andrzej Jakubiec, [Tadeusz Listowski](#), [Bogusław Choina](#), [Tadeusz](#)

[Drzazgowski](#), [Marek Cieliński](#), [Zbigniew Szołomicki](#). Nad ranem dotarł jeszcze [Jerzy Łoik](#) oraz parę kolejnych osób, których nazwisk nie pamiętamy (może ktoś przypomni?).

Zebrani w tak nadzwyczajny sposób działacze zrozumieli, że stało się coś ważnego. Że partia przystąpiła do generalnego ataku. Stwierdzili, że najważniejszym celem będzie teraz przetrwanie „Solidarności”. Dlatego trzeba było jak najszybciej dać znak, że Związek dalej istnieje. Wśród obecnych w szpitalu zarysował się podział na dwie grupy. Jedna z nich była w części związana z KPN (Konfederacja Polski Niepodległej) i reprezentował ją Bogusław Choina, druga zaś miała charakter związkowy. Jak się okazało po latach, tej grupie przewodniczył Jerzy Buzek.

Część zebranych postanowiła natychmiast działać i uruchomić konspiracyjne środki społecznego przekazu. Byli to: A. Jakubiec, B. Choina i T. Drzazgowski. Tego samego dnia poszli do hotelu robotniczego GPBW przy ul. Łużyckiej i tam, za pomocą – takie to były środki przekazu – dziecięcej drukarenki, wykonali ulotki formatu A5, sygnowane przez KPN i „Solidarność”. Ulotki zawierały tylko hasła, np. „Precz z komuną”, „Wypuścić internowanych”, „Odwołać stan wojenny”, „Przywrócić Solidarność”. Drukowali (a raczej stemplowali kolejne literki) również: Krzysztof Kujawa i Adam Soczyński – pracownicy GPBW – członkowie KPN. Pierwszy kolportaż ulotek (13, 14, 15 grudnia 1981) wykonali: W. Kostrzewski, T. Listowski, Jadwiga Kolano i Karolina Klauze.

14.12.1981 w mieszkaniu Danuty Szczerek – Bogusław Choina uruchomił już półprofesjonalną drukarnię ulotek. Nadano im tytuł, zaproponowany przez Władysława Kostrzewskiego: „[Biuletyn II Garnituru Gliwickiej Delegatury NSZZ Solidarność](#)”. W istocie, żaden „Drugi Garnitur” nie był przed stanem wojennym przygotowany. Ci, którzy przebywali na wolności i dysponowali umiejętno-

ścią druku, tak się nazwali, by oddziaływać na morale społeczeństwa i dezinformować bezpiekę. Ten drugi aspekt warto stale mieć na uwadze podczas lektury naszych ówczesnych gazetek, a także dokumentów, wytwarzanych przez Służbę Bezpieczeństwa.

Tu należy dodać, że już na miesiąc przed wprowadzeniem stanu wojennego nastroje falowały i faktycznie pojawiła się myśl o utworzeniu Drugiego Garnituru Gliwickiej Delegatury na wypadek jakiegoś dramatycznego zwrotu sytuacji. Z kolei bezpieka zakładała, że przewodniczącego Trefflera zastąpią agenci, ale nie wykazali się oni nadmierną aktywnością i nie utworzyli formalnej struktury. Postanowiono tylko, że ok. 10 osób, które wiedziały, że są niby członkami II Garnituru, „w razie czego” spotka się w Hucie 1-Maja w Gliwicach i stamtąd będzie koordynować strajk ogólnomiejski. Ostatecznie na strajku pojawili się z tej grupy 13 grudnia po północy tylko: [Krzysztof Gosiewski](#) i Franciszek Treffler (później internowani). Nie przyjęli jednak nazwy „II Garnitur”, gdyż strajk został błyskawicznie spacyfikowany i nie dało się tam rozpocząć żadnej działalności. Gosiewskiego, Trefflera i innych odnajdujemy w różnych dokumentach bezpieki jako podejrzanych o działalność w prawdziwym II Garniturze, tym organizowanym przez Kostrzewskiego. W rzeczywistości Krzysztof Gosiewski działał w innej strukturze (RKW z Jerzym Buzkiem; wydawał tam RIS-a), a Treffler po powrocie z internowania nie podjął działalności konspiracyjnej, choć nadal pozostawał tytułarnym przewodniczącym „przedwojennej” Delegatury i – działając jawnie – ściągał na siebie tajniaków, odciążając niejako aktywnych w tym czasie konspiratorów.

Nazwy mogą mylić. Skoro jednak mamy prawdziwy **Drugi** Garnitur, to ten poprzedni możemy dla porządku nazywać teraz **pierwszym**, a następny – **trzecim** (w latach 1980., przypominam, takiej numeracji nie stosowano).

W stanie wojennym każdy komunikat był kierowany do trzech grup odbiorców. Pierwsza – to zwykli ludzie, którym należało nieść otuchę i zagrzewać do oporu. Drugim czytelnikiem była bezpieka. Wiedzieliśmy o tym i zawsze wprowadzało się jakieś przekłamania, które były nieistotne dla zwykłego czytelnika, ale dla profesjonalistów z SB mogły mieć znaczenie. Np. informując o pewnych decyzjach Delegatury, podawało się późniejszą lub wcześniejszą datę zebrania, kiedy to – być może śledzeni – działacze przebywali w miejscach publicznych osobno.

Z kolei Gliwickie Radio „Solidarność” nazwaliśmy Gliwicko-Zabrzańskim, żeby wpuścić szpiclów w jakieś zabrzańskie maliny, gdzie nic wówczas nie rosło. Lekceważenie tej drugiej warstwy (dezinformacyjnej) prowadzi po latach do wielu błędów w interpretacji dokumentów. Trzeci czytelnik docelowy – to struktury zewnętrzne, zwłaszcza konspiracyjne władze „S” na poziomie krajowym. Dla nich najważniejsze były informacje o różnych akcjach i wydarzeniach, które mogły mieć nawet marginalne znaczenie lokalne, ale były świadectwem aktywności w regionach. Niekiedy te trzy poziomy trudno było zharmonizować.

„Biuletyn Delegatury” wydawano co dwa tygodnie, początkowo w nakładzie 500 do 1.000 egz., a po udoskonaleniu techniki – z jednej matrycy drukowano około 2.000 stron. Zaplecze materiałowe do rozpoczęcia druku już istniało, gdyż T. Drzazgowski, przed stanem wojennym, kupił 150 ryz papieru w Tarnowskich Górach. Kupił też kilka paczek matryc białkowych, co wystarczyło na wiele miesięcy druku. Ramki drukarskie wykonywał sam i był gotowy do pracy już przed 13 grudnia.

Cel – raczej gospodarczy. Zamierzał drukować rzeczy odrzucone przez cenzurę, ale niezbyt mocno ścigane w czasach legalnej, pierwszej „Solidarności”, np. „Na probostwie w Wyszku” Stefana Żeromskiego. Maszynę do pisania

kupił dzięki pośrednictwu Marka Misiąga od osoby trzeciej. Papier był przechowywany u państwa Winnickich w Zabrzu i stamtąd Drzazgowski pobierał po kilka ryz w miarę potrzeby. Papier Drzazgowski kupował za własne pieniądze, a Winnicki znał adresy dostawców.

*

Pojawia się tu nazwisko **Tadeusza Drzazgowskiego**, o którym już się pisało. Szybko wyrósł on na niekwestionowanego przywódcę gliwickiej konspiracyj. Spora część niniejszego tekstu oparta jest na jego relacji z zachowaniem (fragmentami) stylu wypowiedzi ustnej, później mocno zmodyfikowanej wspomnieniami innych działaczy, którzy uściślali różne drobiazgi, nieznane Drzazgowskiemu.

Należy jednak w tym miejscu cofnąć się ponad rok, do 21.10.1980. Otóż tego dnia TW „Trójka”, czyli tajny współpracownik bezpieki Bogusław Caban, uczestniczył w spotkaniu z przedstawicielami KOR-u: **Henrykiem Wujcem** i Andrzejem Spyra. Ten drugi został przez IPN zidentyfikowany jako tajny współpracownik bezpieki. Według sprawozdania Cabana (IPN Ka 00170/682) – Wujec miał wtedy inspirować powstanie Ośrodka Gliwickiego, który by prowadził Okręg Południowy „Solidarności” i zastąpił zarówno MKZ Huta Katowice, jak i MKR Jastrzębie (to wygląda na dywersję KOR-u lub bezpieki i wymaga dalszych badań).

Ostatecznie ów plan nie został wdrożony, natomiast dla nas interesujące jest to, że Wujec i Spyra zaproponowali powołanie kolegium redakcyjnego KOR i utworzenie nielegalnej drukarni – jak napisał Caban – **w oparciu o ob. Drzazgowskiego Tadeusza, w jego mieszkaniu przy Myśliwskiej 14.**

Można się domyślać, że pomysłodawcą drukarni przy Myśliwskiej był raczej tajny agent Spyra, który – podając się za wysłannika KOR-u – już w grudniu 1979 doprowadził do zatrzymania przez SB naiwnego wówczas Drzazgowskiego, który przekazał Spyrze 1.000 zł na rzecz KOR.

Wujec nie znał Drzazgowskiego, więc nie mógł nic o nim mówić. 13 grudnia Drzazgowski już nie był naiwny. Do znanego Spyrze mieszkania nie wrócił i ukrywał się aż do lat dziewięćdziesiątych, a samego Andrzeja Spyrę – na podstawie bardzo czytelnych poszlak i pewnych dowodów – ogłosił agentem i zdrajcą w 16. numerze „Manifestacji Gliwickiej” w sierpniu 1982. (UWAGA. Jeżeli ktoś posiada **czytelny 16. numer „MG”** – byłbym wdzięczny za skan).

Żeby dopełnić miary absurdu, należy jeszcze dodać, że Andrzej Spyra znał doskonale ważniejszych działaczy „Solidarności” z okresu legalnego i wiedział, kto z kim współpracuje. Spotkał się więc w sierpniu 1982 z [Władysławem Kostrzewskim](#) (już w grudniu 1981 uprzedzonym przez Drzazgowskiego) i wręcz prosił go o sprawienie, by [Marek Cieliński](#), którego wtedy błędnie uważał za redaktora biuletynu, odwołał oskarżenie Spiry o agenturalność, bo to całkowicie paliło go w gliwickim środowisku.

Oczywiście Kostrzewski nic na to nie mógł poradzić i Spyra musiał wyjechać z Gliwic. Później dochodziły o nim wieści, że szkodzi „Solidarności”, udając wielkiego działacza w Brukseli. Dla porządku odnotujmy, że Kostrzewski kontaktował się z Cielińskim tylko w grudniu 1981, bo Cieliński był internowany od 30.12.1981 do 9.03.1982, a Kostrzewski – od 5.03.1982 do 26.07.1982. Ale wracamy do zakłóconej chronologii opowieści.

16 grudnia 1982 [Bogusław Choina](#), zgodnie z umową, zawartą w szpitalu z grupą związkową, poszedł do mieszkania przy ul. Świerczewskiego 10 (dziś Lipowa), by przekazać ulotki. W mieszkaniu tym ukrywał się Jerzy Buzek i kilka innych osób, późniejszych twórców RIS-a (Regionalnego Informatora „Solidarności”). Zebrane tam osoby zastanawiały się nad formami działania w stanie wojennym, ale nie były jeszcze przygotowane do kolportażu. 17 grudnia rano do Choiny zgłosili się licealiści i wzięli ulotki.

Jeden z chłopców został złapany przez docenta marcowego magistra Franciszka Bąka i niejakiego Walczaka (Bąk był wykładowcą filozofii marksistowskiej na Politechnice Śląskiej, znany jako wyjątkowa kanalia). Licealiści byli bici. Zatrzymano wówczas również inne osoby. Ktoś wydał Bogusława Choinę, który został aresztowany 17 grudnia 1981, a następnie skazany przez Sąd Garnizonowy w Gliwicach na 2 lata więzienia. Izba Wojskowa Sądu Najwyższego wyceniła tę zbrodnię na 5 lat. Szczęśliwie w lipcu 1983 ogłoszono pierwszą amnestię i Choina odzyskał wolność.

Po aresztowaniu Choiny nie miał kto pisać. Kostrzewski skontaktował Drzazgowskiego z Andrzejem Szlachta. Przetransportowano do niego maszynę do pisania i materiały. Szlachta dawał Drzazgowskiemu gotowe matryce do druku. Pierwszy kolportaż szedł przez grupę A. Szlachty; odbierali też Kostrzewski i Listowski. Nakład: od 500 do 1.000 egz. Nadwyżki Drzazgowski wraz z Zofią Jakubiec rozrzucał po klatkach schodowych (prawie nigdzie nie było wtedy domofonów).

Garnitur III, historyczny

Z upływem czasu Delegatura rozrastała się i zmieniała oblicze, a trzeci garnitur powstawał powoli z lat, nakładanych na dziury i zniszczenia Drugiego Garnituru, którego założycielami byli – przypomnijmy, w szpitalu 13.12.1981 – B. Choina, A. Jakubiec, T. Drzazgowski (wymieniona trójka to członkowie KPN) oraz W. Kostrzewski i T. Listowski. Następnie doszli: Andrzej Szlachta, Zbigniew Sawicki, [Kazimierz Michalczyk](#), Andrzej Grabara, [Tadeusz Belz](#), grupa „KOS” z Sośnicy, [Piotr Kowrygo](#), młody inżynier z biura projektów o nieznanym nazwisku, a od kwietnia 1982 [Andrzej Jarczewski](#) – szef [Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej \(AGO\)](#).

Poważny wkład w rozbudowę Delegatury wniósł Władysław Kostrzewski, który – po akcji „Szpital Położniczy” – tworzył więzi w środowisku medycznym, a także odpowiadał za kontakty z członkami legalnej (tzn. tej sprzed 13.12.81) „Solidarności” i aktywowanie ich w działalności konspiracyjnej, po uprzednim sprawdzeniu wiarygodności.

Delegatura miała strukturę poziomą. Tworzyły się grupy działaczy, a ich szefowie kolejno wchodzili w skład Delegatury. W czasie kilku miesięcy, powstało 11 równoległych organizacji, które stanowiły niezależne od siebie piony o zróżnicowanej strukturze wewnętrznej. Każdy z pionów prowadził kolportaż, a niektóre z nich miały drukarnie i prowadziły inne formy działalności, o których dalej jeszcze się coś opowie.

1. Pion medyczny, kierowany przez Władysława Kostrzewskiego, a po jego internowaniu 5.03.1982 – przez Piotra Hatossy'ego. Nawiązał kontakt z drukarnią, prowadzoną bez wpadki do roku 1989 przez braci Jaroszewiczów [Jana](#) i [Józefa](#). Niezależnie od druku – pion kolportował początkowo od 100 do 150 egz. „Biuletynu II GGD NSZZ Solidarność”. Działała tam również grupa pomocowa (charytatywna): Alicja Żbik, Jadwiga Kolano, Piotr Hatossy.

2. Grupa Zbigniewa Sawickiego i Edwarda Wróblewskiego. Od końca stycznia 1982: drukarnia, prowadzona przez działaczy z Fabryki Domów, kolportaż 100-150 egz. Sawicki założył grupę kolportażową, przeszedł szkolenie drukarskie, a następnie zajmował się m.in. wykonywaniem sprzętu drukarskiego (ramki, wałki).

3. „Komitet Oporu Społecznego” z Sośnicy, założony przez małżeństwo Woźniców. Początkowo grupa ta przygotowywała niezależne pismo „KOS”, które drukowała Delegatura, ale po wydaniu kilku numerów – „KOS” przyłączył się do Delegatury (brak pełniejszych informacji o tej działalności).

4. Grupa Tadeusza Bełza – technika: produkcja stempli, ramek, druk, kolportaż. T. Bełz wykonał m.in. duże pieczęcie, za pomocą których oznakowano 150 autobusów w gliwickiej zajezdni (będzie o tym mowa dalej).

5. Grupa Andrzeja Grabary – od marca 1982 prowadziła kolportaż, a także załatwiała sprawy organizacyjne i osobowe, związane z różnymi akcjami Delegatury.

6. Grupa Kazimierza Michalczyka – posiadała drukarnię, prowadzoną przez pracowników „Famontu”, kolportaż po 100-150 egz. K. Michalczyk był odpowiedzialny za tworzenie grup do zadań nietypowych. W maju 1982 r. K. Michalczyk nawiązał kontakt ze „ZREMB-em”. Działał tam Józef Dmowski z grupą wyspecjalizowaną w malowaniu murów hasłami solidarnościowymi.

7. Grupa Piotra Kowrygi – od marca 1982 r. odpowiadała za zapewnienie środków finansowych na działalność, a także za kolportaż 300-500 egz.

8. Grupa młodego inżyniera o nieznanym nazwisku – od marca 1982 r. prowadziła kolportaż 300-500 egz., a także odpowiadała za sprawy finansowe (zbieranie składek).

9. Grupa Andrzeja Szlachty, redaktora „Biuletynu” (do kwietnia 1982). M.in. zaopatrzenie drukarni w papier. Grupa kolportowała po 300 egz.

10. Grupa kierowana prawdopodobnie przez Tadeusza Listowskiego – od lutego 1982 prowadziła kolportaż m.in. na terenie sąsiednich gmin (p. Zalewski z Sośnicowic), Adam Balbierz z Kombinatów Budowlanego (brak informacji).

11. AGO – [Akademicka Grupa Oporu Politechniki Śląskiej](#), utworzona i kierowana przez Andrzeja Jarczewskiego. Początkowo kolportaż i malowanie haseł na murach, a od kwietnia 1982 własne wydawnictwo, działające do roku 1991; organizacja manifestacji, wpływanie na samorząd studencki i Senat Politechniki, akcje pomocowe.

Koordynatorem działalności pionów był Tadeusz Drzazgowski (ps. „Spokojny”). By nie narażać struktury na dekonspirację, zebrania Delegatury nigdy nie odbywały się w pełnym składzie. Nikt nie wiedział, kto do niej należy, a z każdym szefem grupy Drzazgowski spotykał się osobno. Dopiero w listopadzie 1982, część Delegatury zebrała się w mieszkaniu na osiedlu „Millenium” w Gliwicach, by zastanowić się nad sposobem dalszego działania. Kilka dni później internowano Sawickiego i Michalczyka, u którego znaleziono rulon nierozciętych „Manifestacji Gliwickich”.

POCZTA BALONOWA

Technikę balonową i drukarską Drzazgowski poznał dzięki Krzysztofowi Winnickiemu, studentowi polonistyki z Zabrze, studiującemu we Wrocławiu. 31 grudnia 1981 wydrukowano ulotki formatu A4 z matrycy białkowej. Kupiono dużo baloników sylwestrowych i z budynku przy ul. Gottwalda 17 wypuszczano balony, wypełnione gazem kuchennym, z podwieszonymi ulotkami. Balony mogły udźwignąć więcej ładunku, niż przewidywano, więc szybko zabrakło ulotek. Dodatkowo wypisywano na miejscu odręcznie. Były to kartki formatu A5 z samymi hasłami. Ulotki opadały po różnym czasie, co zależało od wiatru i od zmienianej długości zapalonego (radzieckiego) papierosa *Kosmos*, używanego do przepalania nitki, na której pod balonem zawieszano ulotki. Wypuszczanie balonów trwało ponad dwie godziny. W akcji tej brali udział: T. Drzazgowski, Jolanta i Liliana Zamojskie, A. Soczyński, A. Jakubiec. W styczniu druga akcja. Bezpieka opisała to tak:

Dnia 27.01.1982 r. miał miejsce kolportaż bezdebitowych ulotek pt. „Biuletyn Informacyjny Solidarność” nr 2/82 za pomocą balonów z prymitywnym urządzeniem wyzwalającym. Ulotki nawiązywały do biernego oporu wobec władz, organizowania pomocy dla internowanych i aresztowanych (...).

Nie było już w handlu baloników karnawałowych, więc użyto produktów zastępczych, które jednak przepuszczały gaz, co powodowało większe ich zużycie (po 3 produkty na plik ulotek) i pogorszenie BHP. Jeden zestaw zawiesił się na trudno dostępnej antenie na dachu Szpitala Wojskowego. Następnego dnia strażacy nie starali się zbyt szybko zdjąć nadmuchanych prezerwatyw z masztu, a urządzone przez nich widowisko warte było tego całego zachodu.

ROZROST STRUKTURY

Okolo marca 1982 dołączył Piotr Kowrygo i brał biuletyny do kolportażu po 300-500 egz. Sawicki z Michalczykiem, niezależnie od drukowania, kolportowali po 100-150 egz. Kostrzewski z Listowskim – też po 100-150, Szlachta też ok. 150. Te liczby nie wyglądają imponująco, gdy zważymy, że wiele grup dysponowało już drukarniami o zdolności produkcyjnej co najmniej 2.000 stron A4 dziennie. Problem jednak polegał nie na wydajności, ale na zaopatrzeniu w papier i docieraniu do konkretnych czytelników, gdy adresowany kolportaż zastąpił rozrzucanie. Trudne było też **zdobywanie informacji wartych druku** i ewentualnie... pięciu lat więzienia, a to – po wyroku na Bogusława Choinę – było dla każdego zupełnie jasne.

Wiele matryc przygotowała Iwona Tarnawska, która też redagowała niektóre biuletyny. Następnie dołączyła grupa „KOS” z Sośnicy, skontaktowana z Drzazgowskim przez Tarnawską. Po wydaniu kilku numerów „KOS-a” (drukowanych przez Drzazgowskiego) redaktorzy zrezygnowali z własnego pisma i podjęli kolportaż. Na początku lutego 1982 Kostrzewski skontaktował Drzazgowskiego z grupą z Bytomia, dla której Drzazgowski drukował parę numerów ich pisma (Kostrzewski przewoził matryce z Bytomia). W marcu była większa wsypa w Bytomiu. Przyjechali łącznicy i oznajmili, że muszą zaprzestać wydawania pisma.

5 marca 1982 internowano Kostrzewskiego, Listowskiego, Magdalenę Knoll, Stanisława Konara, Franciszka Trefflera (ostatni przewodniczący legalnej Delegatury) i innych. Ale struktura już okrzepla i rozwijała się nieprzerwanie, choć stale pojawiały się różne problemy. Np. w kwietniu A. Szlachta musiał (ze względów osobistych) zrezygnować z redagowania biuletynu, ale nadal – do marca 1983 – prowadził kolportaż i dostarczał papier. W marcu 1982 dołączył Andrzej Grabara ze swoją grupą.

W kwietniu 1982 redakcję biuletynu przejął Andrzej Jarczewski, szef Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej ([AGO](#)), który nawiązał współpracę z Drzazgowskim w grudniu '81. Już w styczniu 1982 obaj postanowili wydać zbiór wierszy różnych autorów pt. „[Reduta Śląska](#)”. Wiersze pojawiały się w całej Polsce w grudniu 1981 i w styczniu 1982. Inicjatorem wydania tomiku „poezji wojennej zimy” był Drzazgowski, który również dostarczył matryce białkowe i papier oraz zapewnił przepisanie na maszynie rękopisów, zredagowanych przez Jarczewskiego.

Drukiem zajęli się studenci z Wydawnictwa Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej: [Jarosław Cyranekiewicz](#), Krzysztof Cegielski i Piotr Jankowski z Wydziału Elektrycznego oraz Henryk Metz z Wydziału Automatyki. Komplet matryc wystarczył na wydrukowanie 1.000 egz. „Reduty”. Tomik miał 34 strony formatu A5; rozprowadzany był odpłatnie. Hurtem zarządzał Drzazgowski. Pieniądze przeznaczano na pomoc rodzinom aresztowanych.

22 kwietnia 1982 ogłoszono w Warszawie powstanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej (TKK) NSZZ „Solidarność”. TKK od razu zaprezentowało się jako ciało niezdolne nie tylko do jakichkolwiek poważnych decyzji, ale wręcz jako twór, obawiający się rzeczywistej (w skali kraju) koordynacji działań poważniejszych niż samobójcze wystawianie świeczek w oknach.

Kto poważnie potraktował tego rodzaju koncepcje – mógł mieć spore kłopoty. Rykoszet akcji „świeczka” trafił nawet przypadkowo w Sylwestra Chojkiewicza, pierwszego szefa studenckiej części AGO, którego wezwano na 4-godzinne przesłuchanie. Winą Chojkiewicza było to, że w oknie akademika pojawiła się świeczka, wystawiona przez inną osobę. A przypadek polegał na tym, że było to okno pokoju Chojkiewicza! Szczęściem SB nie wiedziało nic o faktycznej działalności przewodniczącego AGO i skończyło się na rozmowie ostrzegawczej.

Ci, którzy ogłosili apel o wystawianie świeczek, w rzeczywistości wystawili na ryzyko wielu dzielnych ludzi. Taka symboliczna akcja mogła mieć sens w Polsce tylko w grudniu 1981. Również w Watykanie i w oknie Białego Domu. Ale z miesiąca na miesiąc stawało się to coraz widoczniejszym anachronizmem, a w kwietniu – czysto samobójczą akcją ostatnich najdzielniejszych. Najgorsze, że nikt tej akcji nigdy nie odwołał; na dobrą sprawę obowiązuje niby do dziś, ale naprawdę zamarła sama, potwierdzając najgorszą cechę nieudolnego i nieodpowiedzialnego kierownictwa, wyrażoną najlepiej przez Adama Mickiewicza:

*Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiedzie,
Ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie!*

Pojawienie się krajowej struktury nieposiadającej żadnego programu sprawiło ogromny zawód działaczom terenowym. Zbliżał się dzień Trzeciego Maja, ludzie czekali na „złoty róg”, na hasło. Byli przygotowani, ale złoty róg nie zabrzmiał, hasło nie zostało wydane... W tej sytuacji odpowiedzialność spadała na każdego, kto był zdolny ją unieść. Ale hasło na rozpoczęcie akcji mogło dotyczyć tylko całego kraju. W konkretnym mieście nie to było ważne.

MANIFESTACJA GLIWICKA

W Gliwicach odpowiedzialność za Trzeciomajowe przygotowania wzięli na siebie Tadeusz Drzazgowski i Andrzej Jarczewski. Bardzo ważnym problemem była wówczas legitymizacja konspiracyjnego kierownictwa. Cała czołówka siedziała w obozach dla internowanych, a tych kilku przywódców rangi krajowej, którym udało się uniknąć aresztowania, zajmowało się hamletyzowaniem. Ktoś jednak musiał podejmować decyzje w imieniu „Solidarności”, bo w przeciwnym razie kto inny podejmowałby inne decyzje w imieniu czegoś zupełnie innego.

Drzazgowski i Jarczewski przed stanem wojennym byli działaczami niższego szczebla, nie mieli więc demokratycznej legitymacji do przewodzenia w skali miasta, a przejściowo – również Regionu. Ale w nowych warunkach liczyły się inne rzeczy. Drzazgowski był przygotowany do niemal profesjonalnego rzemiosła drukarskiego, a Jarczewski w roku 1981 redagował legalny tygodnik *Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność”*, wydawany przez Komisję Zakładową „Solidarność” Politechniki Śląskiej.

Obydwaj uzupełniali się więc w najważniejszej wówczas dziedzinie: umieli uruchomić konspiracyjne środki społecznego przekazu i wykorzystać je w działaniu. Drzazgowski miał umiejętności drukarskie i organizacyjne, Jarczewski – pisarskie. Dysponowali drukarnią i (w kwietniu 1982) rozgałęzionym systemem kolportażu. Postanowili zorganizować manifestację 3-Majową w Gliwicach.

Drzazgowski zaczął od konsultacji z szefami grup nt. potrzeby i formy tej manifestacji. Przygotowania przeprowadzili i odpowiedzialność za pokojowy charakter demonstracji wzięli na siebie: Drzazgowski, Michalczyk, Sawicki, Kowrygo, Grabara, Jarczewski, inżynier NN oraz małżeństwo Woźniców z grupy „KOS”. W tym czasie studenci z AGO uruchomili uratowany przed bezpieczeństwem powielacz,

będący przed 13 grudnia własnością NZS-u. I na tym powielaczu, a potem drugi raz na ramkach wydrukowali dwa numery „Biuletynu Gliwickiej Delegatury” z dokładnym opisem zasad i trasy organizowanej manifestacji. Drukowały również inne grupy, dysponujące sprzętem.

Według koncepcji Andrzeja Grabary – ludzie mieli się pojawić na ulicy Zwycięstwa po godz. 17.00 i spacerować wyłącznie po chodnikach ruchem okrężnym, przeciwnym do kierunku ruchu wskazówek zegara. W każdym punkcie na trasie od dworca do Rynku i z powrotem należało mieć domy po prawej, a jezdnię po lewej stronie. Masa krytyczna została przekoczona około 17.15 dzięki skumulowaniu dużej grupy z jednej strony przejścia dla pieszych przez ulicę Konstytucji; na trasie były tylko jedno światła i nikt ich nie wyłączył. Zatrzymanie na minutę dość bezładnego spaceru pokazało, że we „właściwym” kierunku podąża ze sto razy więcej osób niż „pod prąd”. Przez następne pół godziny spokojna i milcząca manifestacja narastała, by nagle zniknąć kilka minut przed szóstą. Wtedy to – zgodnie z wezwaniem – należało skierować się do kościoła pw. św. Piotra i Pawła (dzisiejsza katedra). Tam ks. Konrad Kołodziej odprawił mszę św. w intencji Ojczyzny.

Tej manifestacji poświęcam więcej miejsca, gdyż miała ona nowatorską formę i stanowiła model dla późniejszych marszów zarówno w Gliwicach, jak i w innych miastach. Od tego wydarzenia bierze się też tytuł biuletynu, wydawanego nieprzerwanie aż do roku 1989: „Manifestacja Gliwicka”. W mieście o patriotycznych tradycjach, otwarcie antykomunistycznym, musiało dojść do „czegoś” spektakularnego w dniu 3 Maja. Tak było w „referendalnym” roku 1946. Tu również trwała legenda Marca 1968 i pamięć o pacyfikacji, przeprowadzonej na ulicy Zwycięstwa dzień po demonstracji studenckiej. Użyto wówczas „bijącego serca partii” i, na postrach, milicyjnych psów (w kagańcach).

Problemem nie było więc zwołanie ludzi w centralnym punkcie miasta, ale zorganizowanie im czasu, a przede wszystkim – sprawne i bezpieczne zakończenie zgromadzenia. I to zostało osiągnięte. Przewidywano również nieuchronne koszty. Według komunikatu MO – 300 osób wylegitymowano (głównie z powodu opornika wpiętego w klapę marynarki), 38 aresztowano. Niektórych na 3 miesiące, innych internowano bezterminowo; taką przepustkę do internatu wyrobił sobie m.in. późniejszy marszałek województwa śląskiego, a wówczas świeży absolwent Architektury – Janusz Moszyński. Kilkunastu manifestantów zapłaciło grzywnę do 5.000 zł (wówczas oznaczało to połowę pensji). Organizatorzy zakładali również, że milicja będzie początkowo zdezorientowana panującym spokojem i upływie parę godzin, zanim dostanie rozkaz bicia bez powodu.

Największą trudność sprawiało więc zaplanowanie przejścia przez miasto kilku tysięcy ludzi po mszy. Ksiądz Kołodziej kilkakrotnie wyraźnie prosił, by po zakończeniu mszy św. każdy osobno w spokoju powracał do domu. I tak w zasadzie to się odbywało. Tych, którzy wracali na Sikornik, nikt nie niepokoił. Jednak jeden manewr ZOMO wywołał nieprzewidziane skutki. Otóż uzbrojeni w kałasznikowy zomowcy pozamykali wejścia na różne uliczki, w tym zwłaszcza z Rynku na Zwycięstwa, Krótka, Średnią i Kościelną, co kierowało znaczny strumień ludzki na Plac Mickiewicza. Na czele kolumny – oczywiście – esbecy prowokatorzy, udający manifestantów.

Kilka dni wcześniej kolportowane były fałszywki, w których zachęcano ludzi, by nie szli na manifestację, tylko od razu kierowali się na Pl. Mickiewicza; nie napisano jednak, co tam ludzie mają robić i... co będzie robione z ludźmi. A tam już czekały polewaczki, zwane w Gliwicach hydropancerami. W trakcie mszy pod kościołem dochodziło do licznych prowokacji.

M.in. „nieznani sprawcy” złamali obydwie ręce Wacławowi Dąbrowskiemu, który stał pod krzyżem, gdyż nie zmieścił się w przepelnionym kościele (wg innych relacji – ten potwierdzony przez lekarzy fakt miał miejsce rok później: 3.05.1983). Na Placu Mickiewicza użyto trochę gazu i kilkanaście osób spałowano, natomiast większą pacyfikację zomowcy urządzili sobie w dzielnicy akademickiej (Łużycka), gdzie przez kilka godzin bito każdego, kto przypadkowo znalazł się w zasięgu pały lub armatki wodnej.

Zatrzymano wtedy również członka **AGO**, Witolda Gabryśia, który wracał spokojnie do domu. Działo się to na ulicy Konarskiego, czyli bardzo daleko od epicentrum wydarzeń, w spokojnej dzielnicy. Przesłuchiwany student Gabryś na pytanie „po co wychodził na ulicę” odpowiedział, że chciało mu się pić, więc poszedł do sklepu, kupić herbatę (w PRL-u dzień 3 Maja był zwykłym dniem pracy).

KONSPIRA W KONSPIRZE

13 maja 1982 ukazało się sprawozdanie z wydarzeń 3-Majowych w biuletynie, który od numeru 11. przyjął tytuł „Manifestacja Gliwicka”. Tam też ukazał się wywiad z szefem Delegatury, „Spokojnym”, czyli Tadeuszem Drzazgowskim. W istocie Drzazgowski znany był w podziemiu pod innym, bardzo brzydkim pseudonimem.

Tu trzeba dodać, że Drzazgowski z Jarczewskim opracowali „Instrukcję BHP” dla konspiratorów i sami stosowali bardzo złożone mechanizmy kamuflażu. By więc nawet najbliżsi współpracownicy nie wiedzieli, kto jest szefem Delegatury, Jarczewski nadał Drzazgowskiemu w tym wywiadzie (pisanym głównie dla bezpieczeństwa) pseudonim „Spokojny”, co również było odzwierciedleniem atmosfery, panującej w czasie manifestacji. Poza tym – szefem Delegatury nie może być niejaki... „Morda”.

Dopiero pod koniec roku 1982 ci, których Drzazgowski uznał za członków Delegatury, zebrali się w jednym miejscu, by zastanowić się nad sposobem przekazania kierownictwa zwalnianym z internowania działaczom, posiadającym demokratyczny mandat do przewodzenia. Przypomnijmy, że poszczególne grupy działały w pełnym odosobnieniu i rzadko łączyły się do wspólnych zadań. Nie wszystkie miały nazwy, a uczestnicy grupy nie zawsze znali wyczyny swoich kolegów. Tak było m.in. w Akademickiej Grupie Oporu, wewnątrz której – niezależnie od drukarni – działał pion kolportażu, kierowany przez Marka Raka i późniejszego posła, Kazimierza Matusznego.

Najgłębiej w AGO zakonspirowana była jednak Niezależna Grupa Malarzy Pejzaży, której członkowie nie wiedzieli nawet, że tak się nazywają. Nazwę tę wprowadził Jarczewski i o wyczynach Grupy napisał artykuł w „Manifestacji Gliwickiej” na podstawie własnych obserwacji. Sierpniowe (mówimy o roku 1982) numery „MG” i „AGO” – w domu Jarczewskiego – drukowali, wspomniani już, Cyrankiewicz, Cegielski, Jankowski i Metz. W drukowaniu uczestniczył również asystent z Automatyki, Henryk Jakubiec (nie mylić z Andrzejem Jakubcem) oraz Sylwester Chojkiewicz, przewodniczący studenckiej części AGO. Ani Chojkiewicz, ani Jarczewski nie wiedzieli, że Niezależną Grupę Malarzy Pejzaży tworzą właśnie... Cyrankiewicz, Cegielski, Jankowski i Metz!

Co więcej – szkolenie drukarskie prowadził wtedy Drzazgowski, który przyniósł kolorowe zdjęcia wieżowca przy Al. Majowej 16. Na zdjęciu widniał rozciągający się od X piętra do parteru, największy w Polsce napis SOLIDARNOŚĆ ŻYJE, wymalowany w nocy z 23 na 24 lipca 1982 i – w chwili fotografowania – zamalowany już od dołu do IV piętra. Drukarze chętnie kupili zdjęcia nie wiedząc, jaką rolę w konspiracji odgrywa skromny instruktor drukarski,

a Drzazgowski dopiero 25 lat później, na zjeździe AGO, dowiedział się że te zdjęcia sprzedał... twórcom napisu!

Następnym przewodniczącym, wybranym przez studentów z AGO, był Andrzej Sobański. Na zajmowanej przez stancji (róg Moniuszki i Gorzołki) przez kilka lat – oprócz „AGO” – drukowano różne rzeczy, w tym kartki świąteczne (metodą sitodruku) i „Tygodnik Wojenny”. On również nie wiedział, że jego najbliżsi współpracownicy po nocach obsmarowywują Gliwice napisami, o których nawet „Tygodnik Mazowsze” pisał, że służby miejskie nie nadszają z ich zamalowywaniem.

Kolejnym wewnątrz zakonspirowanym zespołem była grupa „Korepetytora”, składająca się z kilku, czasem kilkunastu licealistów, którzy chcieli wydawać młodzieżowy dodatek literacki. Pierwsze 3 numery wychodziły w rękopisach (chiński powielacz, nakład ok. 30 egz.), redagowanych przez Jarczewskiego, pod tytułem „Proza Życia”, a od maja 1982 – już w druku – jako „Stan Ducha”, powielany przez Wydawnictwo AGO w nakładzie 1.000 egz. „Korepetytor” stosował przyjęte w Delegaturze zasady. Uczniowskie teksty przepisywał odręcznie i przekazywał je Jarczewskiemu, a oryginały niszczył („śluza”). Jarczewski wybierał materiał do druku, redagował, przepisywał, a gotowe matryce, sporządzane też niekiedy przez Annę Dubińską, przekazywał Drzazgowskiemu lub drukarzom z „AGO”.

W roku 1983 Wydawnictwo AGO wydrukowało zbiór opowiadań, częściowo publikowanych wcześniej w biuletynowych numerach „Stanu Ducha”. Tomik opatrzone również tytułem „Stan Ducha” (24 strony formatu A5, nakład 1.000 egz.). Okładkę i rysunki na stronach „Stanu Ducha” wykonał student Wydziału Architektury, Witold Gabryś. Przesłanie tej grupy pojawiło się w pierwszym drukowanym numerze „Stanu Ducha” 17 maja 1982 r.:

***Koledzy. Nie rzucajmy kamieniami.
Słowa są cięższe od kamieni. Piszmy!***

Wszystkie te opowiadania zostały ponownie opublikowane w roku 2012 w powieści Jarczewskiego pt. „Selma”.

W orbicie AGO znajdowało się również kilkunastu pracowników Politechniki Śląskiej. Prowadzili oni najpierw archiwum i kolportaż, a później rozproszyli się w grupach pomocowych, stanowiących chlubę Gliwic lat osiemdziesiątych. Ta działalność – w zasadzie jawna – zasługuje na opisanie przez osoby, które wtedy się udzielały. Konspiratorzy nie znali tych struktur i dowiadywali się o ich niezwykle ofiarnym działaniu dopiero wtedy, gdy sami popadali w kłopoty, tracili pracę lub lądowali w więzieniach.

W tym kontekście należy wymienić panią Krystynę Turkiewicz, a spoza Politechniki – m.in. panie: Wandę Kolasę, Janinę Szymanowicz, Jadwigę Rudnicką, Adelę Kalinowską. Działały ponadto inne osoby, tworzące dwa duże kręgi pomocowe. Pierwszy skupiony był wokół ks. [Jana Siemińskiego](#) z parafii Podwyższenia Krzyża Świętego, a drugi – wokół ks. Konrada Kołodzieja z parafii św. Piotra i Pawła. Wybitnego wsparcia moralnego udzielał również – odzegnujący się zawsze od polityki i wszelkich spraw materialnych – duszpasterz akademicki ks. Herbert Hlubek.

O TYM BEZPIEKA NIE DOWIEDZIAŁA SIĘ NIGDY

Z dokumentów, które otrzymujemy teraz z IPN-u, wynika, że безпеka – mimo licznej sieci tajnych i jawnych współpracowników – o istocie działania Gliwickiej Delegatury nie miała zielonego pojęcia. Pojawiają się tam nazwiska osób, które kompletnie nic nie robiły, a prawdziwi działacze wymieniani są w zupełnie obcych im kontekstach. Tak jest m.in. w teczkach Jarczewskiego, w których znajdujemy 32 nazwiska funkcjonariuszy SB i milicji od szeregowca (rewizje) do generała (decyzje).

Ponadto – 16 tajnych współpracowników (TW), sześć kontaktów operacyjnych (KO), kilkoro prokuratorów i sędziów. Efekt – 2 lata więzienia w wyroku za działalność wymyśloną przez bezpiekę (zwolnienie po roku na mocy amnestii). O prawdziwej działalności Jarczewskiego, zwłaszcza na Politechnice, w esbeckich teczkach jest niewiele.

Bliższe kontakty ze studentami z AGO utrzymywało troje asystentów z Wydziału Automatyki: Anna Dubińska, Henryk Jakubiec i Andrzej Jarczewski. Szczególną ofiarnością, by nie rzec – lekkomyślnością wyróżniła się Ania Dubińska, która mieszkała z rodzicami przy ul. Zwycięstwa, ale właśnie w początkach stanu wojennego remontowała nowe mieszkanie na Sikorniku, do którego miała się wkrótce przenieść. Jednak na kilka miesięcy przerwała remont. Mieszkanie zamieniło się w „pustostan”, a naprawę – w główną siedzibę [Wydawnictwa AGO](#). Anna Dubińska na maszynie do pisania wykonywała liczne matryce, Jakubiec drukował razem ze studentami oraz przejmował część nakładu do kolportażu, a Jarczewski to wszystko redagował. Gdyby ten lokal wpadł – nie wiadomo, czy Dubińska mogłaby przeprowadzić się tam kiedykolwiek.

Ówczesny adiunkt z Wydziału Architektury, a później profesor Krystian Stangel, wykonywał projekty graficzne, w tym okładkę „Reduty Śląskiej” i okładkę broszury ideologicznej dywersji wojskowej kapitana Jana Polaka pt. „Kto zgasi KIP-a?” (KIP – to Kompleks Indoktrynacyjno-Propagandowy). Broszura ta, emitowana wyłącznie na mikrofilmach, wykonywanych przez Stangla w latach 1985-86, miała na celu poinformowanie Jaruzelskiego, że nie całe Wojsko Polskie jest tak zsovietyzowane, jak on to sobie wyobraża. Należy jednak odnotować, że w wojsku żadnych rzeczywistych struktur antykomunistycznego oporu nie było.

Wyższe kadry kompletowano na podstawie doboru skrajnie negatywnego, a jak już gdzieś działał oficer na miarę Ryszarda Kuklińskiego – pracował w całkowitym osamotnieniu. Wielu oficerów, zwłaszcza młodszych, miało poglądy patriotyczne i antysowieckie, ale nie byli oni jeszcze zdolni do samoorganizacji.

Broszura, pod. red. Andrzeja Jarczewskiego (16 klatek ze stron A5), obliczona była na długofalowy efekt psychologiczny w armii i rozmiękczenie samego generała, który dwukrotnie wszczywał ściśle tajne śledztwa w tej sprawie. Na szczęście szukano nie tam gdzie trzeba, nikt (chyba) nie został aresztowany, a sam Jarczewski był poza podejrzeniem, gdyż akurat rok akademicki 1985/86 przypadkowo spędził w więzieniu (za czyny niepopelnione). Ten okres wykracza jednak poza ramy niniejszego opracowania i zostanie opisany w innym miejscu.

Wróćmy więc do roku 1982. Podziemne publikacje z tamtego czasu – jak już zaznaczono na wstępie – miały **trzech adresatów**. Najważniejsi to oczywiście mieszkańcy naszego miasta, którzy spragnieni byli prawdziwych informacji. Mimo iż ulotki docierały raczej do wrogów komunizmu, to „przekonywanie przekonanych” miało sens. Podnosiło na duchu, a niekiedy organizowało do wspólnych działań. Drugim adresatem byli koledzy z podziemia w całej Polsce, Radio Wolna Europa i światowa opinia publiczna. Ale był też trzeci bardzo ważny odbiorca konspiracyjnej prasy: czerwona zaraza, czyli PZPR i wszystkie uruchamiane przez nią siły ze szczególnym uwzględnieniem bezpieczeństwa, czyli tajnej Służby Bezpieczeństwa.

Gdy po kilkudziesięciu latach czyta się druki z roku 1982, trudno zrozumieć, dlaczego pisano tak dziwnym językiem. Otóż chodziło o to, by do porządnych ludzi docierały informacje prawdziwe, a do łapsów – nieprawdziwe.

Nie było to całkiem niewykonalne, bo inne rzeczy interesowały społeczeństwo, a inne tych, których zadaniem było trzymać ludzi za mordę. Niemniej styl dokumentów z tamtej epoki budzi zadumę. Bo również na tym polu trzeba było odciąć się od przyzwyczajęń, które mogły być dekonspiracyjne.

Na przykład mój styl ukształtował się całkowicie w liceum i do dziś wszystkie książki i artykuły piszę tak, jak niniejszy referat: jedno-, dwustronicowymi rozdziałami, kilkudziesięcioma akapitami (oddzielonymi światłem) z ponadstandardowym udziałem zdań krótkich, zbudowanych zawsze linearnie. I przykro mi się słucha, gdy ktoś cytuje mój artykuł z czasów stanu wojennego. Ale wtedy właśnie starałem się tak to pozmienić, żeby zwykłą analizą teksto-logiczną nie można było mnie nakryć.

Inny przykład selektywnej dezinformacji – to wzmiankowana już nazwa radiostacji, o której piszę niżej. Była to wyłącznie gliwicka inicjatywa. Ale w nazwie pojawiło się Zabrze i audycja nadawana była z Zabrza. Chodziło tu raczej o zmylenie bezpieki, a przy okazji – również o podniesienie na duchu zabrzeńców, którzy początkowo nie potrafili rozwinąć poważniejszej działalności konspiracyjnej.

FINANSE I TECHNIKALIA

Wszystkie koszty finansowe ponosili sami działacze, którzy otrzymywali wsparcie od najbliższych i zaufanych osób, co zresztą w każdym numerze biuletynu było odnotowywane w uzgodniony z darczyńcą, zaszyfrowany sposób. Nigdy nie korzystano z żadnych pieniędzy zagranicznych, natomiast przyjmowano dary rzeczowe, które miały ogromne znaczenie. Były to paczki żywnościowe i ubranio-we, przysyłane na wskazane adresy przez wiele osób z USA, Niemiec, Francji, Szwecji, Szwajcarii, Kanady i –

być może – z innych krajów. W paczkach przemycano również „suknie ślubne”, czyli niezwykle cenne tkaniny do sitodruku, zupełnie niedostępne w Polsce.

Od połowy marca 1982 znaczny udział w finansowaniu druku miała grupa reprezentowana przez Piotra Kowrygę oraz przez młodego, do dziś niezidentyfikowanego inżyniera z któregoś z biur projektów. Warto tu odnotować, że w Gliwicach były takie zakłady, jak np. szpitale, czy Instytut Lakierów i Farb, gdzie składki zbierano i odprowadzano dla „Solidarności” nieprzerwanie od roku 1980 do dziś (co akurat nie uchroniło kilku zakładów przed likwidacją).

W marcu 1982 do Delegatury dołączył Tadeusz Bełz, który zajmował się kolportażem i sprawami technicznymi. M.in. idealnie wyciszył pokój w bloku mieszkalnym, gdzie wykonywano matryce na hałaśliwej maszynie. Bełz wyrzeźbił również wielkie pieczęcie (60x30 cm), które zostały wykorzystane w jednej z najbardziej spektakularnych akcji Gliwickiej Delegatury. O stemplowaniu autobusów w gliwickiej zajezdni opowie się niżej.

Najważniejszym elementem wyposażenia podziemnej drukarni była ramka, pełniąca rolę dzisiejszego kserografu. Powielacze i maszyny offsetowe początkowo były rzadkością. Opis działania ramki, zdjęcia i rysunki można znaleźć w internecie. Każda grupa, szkolona przez Drzazgowskiego, otrzymywała „w posagu” ramkę do dalszej pracy. Wiele ramek trzeba było spalić natychmiast po zakończeniu druku ze względów bezpieczeństwa lub na żądanie... żon. Ginięły również rakle i wałki do rozprowadzania farby. Oprócz wad – miało to i tę zaletę, że kolejne generacje ramek i wałków były coraz lepsze. Wytwarzaniem ramek jednorazowych zajmował się właśnie Tadeusz Bełz. Gliwickie biuletyn wychodził co dwa tygodnie, a drukowano również wiele innych rzeczy. Zużycie ramek było więc duże.

Szcześliwie zachowało się sporo oryginalnego sprzętu i w maju 2006 gliwickie Muzeum urządziło niezwykłą wystawę pt. „**Multimedia konspiry, czyli z rakłą na czołgi**”. Wystawa w budynku Radiostacji Gliwice przez kilka miesięcy cieszyła się wielkim powodzeniem. Ekspozowane były różne ulotki, książki i gazetki, a przede wszystkim – sprzęt do drukowania: ramki, powielacz, dalekopis, pieczętarki, matryce, rakle, wałki i naświetlone sita do sitodruku. Wystawę uzupełniała wspaniała kolekcja znaczków poczty podziemnej, stanowiąca własność Kazimierza Michalczyka, który dostarczył również wiele innych eksponatów. Nad głowami zwiedzających unosiły się zrekonstruowane wehikuly poczty balonowej. Niektóre eksponaty, w tym sita i bezcenny powielacz elektryczny, udostępnił [Przemysław Miśkiewicz](#), ramki – Tadeusz Bełz, a różne zachowane gadżety, ulotki i książki – Andrzej Jarczewski, który był również kuratorem wystawy.

KONCEPCJE I KONTAKTY ZEWNĘTRZNE

Maj roku 1982 był miesiącem największej aktywności podziemia w Gliwicach. Drzazgowski, za pośrednictwem [Tadka Bełza](#), nawiązał kontakt z [Kornelem Morawieckim](#), przywódcą „[Solidarności Walczacej](#)” z Wrocławia. Morawiecki proponował oddzielić się od „Solidarności” (związkowej) i przejść do bardziej radykalnej organizacji, którą zamierzał stworzyć. Sprzeciwił się temu Jarczewski, który uważał, że mimo nieudolności przywódców należy trwać przy „Solidarności” z uwagi na długofalowe cele i szanse, które „Solidarność” (związkowa) wciąż prawdopodobnie miała, a „Solidarność Walcząca” – raczej nie.

Drzazgowski zaakceptował wtedy ten pogląd, obszernie uzasadniony w 15-częściowym opracowaniu pt. „Społeczne koszty oporu społecznego”, które zostało opublikowane

w „Biuletynie Programowym” TKK Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, nr 5, 20 maja 1982. Odpowiedź odmowną zawiózł Morawieckiemu Tadeusz Bronicki.

W tym czasie – ze względu na aresztowania w Katowicach – Drzazgowski i Jarczewski przejęli czasowo redagowanie regionalnego Biuletynu TKK w celu odwrócenia uwagi bezpieki od (reorganizujących się wtedy) kilku dość pogmatwanych struktur wojewódzkich. Tworzenie wszystkich tekstów tego tandemu zaczynało się zawsze od dość burzliwej dyskusji, po czym Jarczewski zapisywał te sformułowania, co do których obydwaj nie mieli wątpliwości. Nie można więc rozdzielić tu autorstwa z wyjątkiem jednej ważnej tezy, dotyczącej „żółwiej pracy”.

Otóż w stanie wojennym dość powszechnie przyjmowano hasło „żółwiej pracy”, jako zjawisko naturalne, osadzone w historii rozbiorowej i ugruntowane tradycją okupacyjną. Drzazgowski był radykalnym krytykiem tego hasła. Był robotnikiem (ze studiów na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej wyleciał na VI semestrze). Uważał „żółwią pracę” za hasło głupie, bezsensowne i niezwykle szkodliwe. Nie da się bowiem tak wychowywać ludzi, by dla komuny pracowali powoli, a w celach szlachetnych – szybko. Uważał, że trzeba zwalczać to demoralizujące hasło, bo będziemy się z niego wyplątywać pokoleniami. Wskazywał, że wielu działaczy również z komuną walczy jak żółwie.

Było to oczywiście słuszne i nigdy w żadnym druku trzeciego garnituru Gliwickiej Delegatury wezwanie do „żółwiej pracy” się nie ukazało. Promowano natomiast pogląd, że należy porządnie pracować w miejscu zatrudnienia i porządnie walczyć z komuną na każdym kroku. Pogląd ten był szeroko dyskutowany i stopniowo zdobywał coraz szersze poparcie. Wyrwanie się z bezrefleksyjnego powtarzania szkodliwych haseł było (na gruncie teoretycznym)

największym osiągnięciem Delegatury. Pozostałe działania miały charakter praktyczny.

RADIO „SOLIDARNOŚĆ” GLIWICKIEJ DELEGATURY (i MKO ZABRZE)

Do działań szczególnie spektakularnych należało utworzenie Radia „Solidarność” w Gliwicach. Inicjatorem i koordynatorem był – rzecz jasna – Tadeusz Drzazgowski, natomiast radiostację zbudował Witold Kuczyński, który wykorzystał radziecką lampę nadawczą. Nadajnik pracował w nietypowym paśmie fal krótkich: 37 metrów. Było to urządzenie jednorazowego użytku, wykonane w celu przygotowania manifestacji gliwickiej na rocznicowy dzień 31 sierpnia 1982.

Reżyserem półgodzinnego programu był Tadeusz Bełz. Autorem tekstów – Andrzej Jarczewski, motyw muzyczny nagrał Andrzej Grabara, głosu użyła Teresa Sadowska. Nadajnik umieszczono na dachu budowanego wtedy budynku na granicy Gliwic i Zabrze. Miejsce wybrał Zenek (nie staraliśmy się wtedy zapamiętywać nazwisk), który rozczynał zwyczaj stróża nocnego i obserwował okolicę przez kilka dni i nocy. Nadajnik przetransportował własną takśówką Roman Sadowski przy pomocy Tadeusza Bełza. Instalację wykonano w dwóch etapach. W nocy z soboty na niedzielę (28-29 sierpnia) Michalczyk i Drzazgowski przygotowali antenę półfalową o długości 18,5 metra, poprowadzili z dołu kabel zasilający i wypróbowali nadajnik, po czym wszystko zwinęli i ukryli. Ze względu na obowiązującą wówczas „godzinę milicyjną” – na wszelki wypadek poczekali na górze, szcękając zębami z zimna, do rana.

W niedzielę po południu przywieźli magnetofon, tuż przed 21.00 załączyli aparaturę i natychmiast się ewakuowali. Po odtworzeniu nagrania z magnetofonu kasetowego

nadajnik dalej emitował falę nośną (37 m) po to, by bezpieka łatwo mogła go odnaleźć. Oczywiście – na kilka godzin przed emisją odpowiednie służby włączyły zagłuszanie na tej fali, gdyż o programie informowały biuletyny w wielotyśięcznych nakładach. Wstępne zagłuszanie słabo dostrojono i początek programu był dobrze słyszalny. Po chwili jednak audycja została dokładnie przykryta sygnałem, znanym wszystkim, którzy słuchali „Wolnej Europy”.

Celem całej tej skomplikowanej i ryzykownej operacji było dostarczenie taśmy z nagraniem... bezpiece. Spodziewaliśmy się prowokacyjnych fałszywek. Chodziło więc o to, by nie było wątpliwości, że manifestacja ma mieć pokojowy charakter, że dokładnie wiadomo, gdzie się zakończy (w kościele), że nie będzie odpowiedzi na żadne prowokacje, że nie pojawią się żadne transparenty, okrzyki itp. Że celem manifestacji jest uczczenie drugiej rocznicy powstania „Solidarności” i żądanie przywrócenia wolności zarówno Związkowi, jak i wszystkim aresztowanym i internowanym. Teksty o tej treści były nagrane na taśmie i drukowane na ulotkach. Ogłoszenie o „zaaresztowaniu” radiostacji (mieliśmy nadzieję, że zostanie opublikowane) będzie niepodważalnym dowodem na przyszłym procesie.

Należy przypuszczać, że ściągnięte z wszystkich stron służby pelengacyjne były przygotowane i zlokalizowały nadajnik w ciągu paru minut. Jednak bezpieka nie zdjęła go z dachu. Być może zrobili w pobliżu zasadzkę na tych, którzy przyjdą zabrać aparaturę po emisji. A może bali się, że nadajnik jest zaminowany? Tak czy owak – poczekali do poniedziałkowego poranka, kiedy to robotnicy znaleźli aparaturę na dachu. Ci nie wiedzieli, co to jest, więc poprzez majstra, kierownika i dyrektora sprawa musiała dojść tam, gdzie trzeba. A 30 sierpnia w wieczornych Aktualnościach TV Katowice mieliśmy już sprawozdanie. Oczywiście zakłamane i tendencyjne, ale radiowa sława Gliwic poszła w Pol-

skę (z archiwum TVP Katowice zniknęło nagranie tego wydania Aktualności).

Partyjni propagandziści nie zdołali wykorzystać do swych celów ani jednego zdania z naszej audycji. Również „Trybuna Robotnicza”, informująca o wykryciu naszej radiostacji, nie zdołała zacytować żadnego fragmentu. Napisano tylko, że:

(...) zamierzano emitować zarejestrowane na taśmie magnetofonowej audycje, nawołujące do udziału w nielegalnych manifestacjach w dniu 31 sierpnia br.

Napisali, do czego nawoływaliśmy! Dowód czarno na białym, że taśmy zostały odsłuchane. By jednak nie było nam za wesoło, na tej samej stronie „Trybuna” przypominała:

osoby, które sporządzają, gromadzą, przechowują lub przenoszą takie informacje, podlegają karze pozbawienia wolności do lat 5, a w przypadku używania do tych celów środków masowej informacji – do lat 10.

Nie były to pogróżki gołosłowne. Pierwszy redaktor gliwickiego biuletynu, Bogusław Choina, już 25 lutego 1982 został przez Sąd Najwyższy uhonorowany prawomocnym wyrokiem 5 lat więzienia za działalność, która trwała zaledwie 5 dni (od 13 do 17 grudnia 1981)!

DRUGA MANIFESTACJA GLIWICKA

W sierpniu 1982 drukowano ulotki z zaproszeniami na manifestację. Łączny nakład „AGO” i „MG” osiągnął rekord absolutny i znacznie przekroczył 10.000 egz. Drukowały jednocześnie dwa zespoły na powielaczu i na ramkach w składzie wcześniej wymienionym. Było jasne, że po sukcesie manifestacji 3-Majowej gliwiczanie czekają na następna. Nie można było tego zlekceważyć. Z całą pewnością starannie przygotowywali się również esbecy i zomowcy.

Wszyscy oczekiwali zarządzenia marszu po godzinie 17.00 i zakończenia w kościele św. Piotra i Pawła o 18.00. Spodziewaliśmy się, że bezpieka musi zamknąć trasę przed 18.00. Wtedy pod blokadą zgromadzi się tłum, wystarczy paru prowokatorów i do akcji zostaną włączone bardzo poważne siły. To mogło się skończyć nawet strzelaniem do ludzi. Nie można było wszak wykluczyć, że Jaruzelski tym razem wybierze Gliwice do pokazowej pacyfikacji (jak wiemy – wybrał wtedy Lubin).

Podstawowym problemem był więc wybór miejsca blokady. Ulica Zwycięstwa odpadała od razu, bo tam każde zatrzymanie ruchu musiałoby stać się początkiem groźnych wydarzeń, które komuniści zapewne wkalkulowali. Rozważano więc różne warianty i ostatecznie wybór padł na bardzo wydłużoną i dość niewdzięczną trasę ulicami, przy których prawie nie było sklepów: Jagiellońską, 1 Maja (wcześniej Dworcowa, następnie Stalina, dziś znów Dworcowa), Gottwalda (dziś Częstochowska) i Strzody.

W ten sposób z góry wyznaczaliśmy miejsce konfrontacji: most nad Kłodnicą na ul. 1 Maja. Most na Wrocławskiej był bowiem z punktu widzenia ZOMO – naszym zdaniem – gorszy, gdyż w zależności od kierunku ruchu ludzie mogli skierować się w ulicę Banacha albo w Kłodnicką, Zimnej Wody (Kaliskiego) lub wcześniej – w Gorzołki, a na ustawienie drugiej blokady brakłoby czasu. Poza tym – przedmoście na ulicy 1 Maja jest znacznie pojemniejsze, więc i prawdopodobieństwo udanej prowokacji – większe.

Żyliśmy jednak w mieście, w którym przeprowadzono osławioną prowokację gliwicką. Szczególnie tu nie można było zapominać, że władza totalna może zastosować dowolnie wybrane, również zbrodnicze środki, by swoje cele osiągać. Sami takich działań doświadczyliśmy (m.in. 3 Maja 1982), więc wątpliwości nie było.

Planując ze stoperem w rękę przebieg manifestacji, zakładaliśmy, że w chwili, gdy most na ul. 1 Maja zostanie zablokowany i na przedmościu zaczną gromadzić się tłumy, upłynie co najmniej minuta niezdecydowania i dopiero później do ludzi dotrze akcja prowokatorów. Należało więc ich uprzedzić, kilkoma silnymi głosami krzyknąć „do Piotra i Pawła!” i natychmiast stanowczo w kilku miejscach naraz zainicjować od czoła odwrót. Musiało więc być to przedmoście od strony obecnej katedry, a nie od strony dworca.

Dlatego też tym razem kierunek ruchu musiał być zgodny z kierunkiem ruchu wskazówek zegara, czyli przeciwny niż w święto 3 Maja. Były obawy, czy damy sobie radę z tak wieloma komplikacjami, zwłaszcza że nie można było obarczać żadnymi funkcjami drukarzy i tych działaczy, którzy nie powinni zaudać się w oczy.

Cały ten plan przedstawiono najpierw w ulotkach, a następnie 29 sierpnia 1982 wyemitowano z Gliwickiej Radiostacji „Solidarność”. Nie podano tylko miejsca spodziewanej konfrontacji, bo wtedy zapewne bezpieka zrobiłaby coś przez nas nieprzewidzianego i sytuacja wymknęłaby się spod kontroli. Na szczęście manifestacja przebiegała zgodnie z planem. Również milicja wykonała wzorowo nasz plan i zamknęła most dokładnie o 17.45, a na tę chwilę byliśmy najlepiej przygotowani i rozstawieni w idącym tłumie. Odwrót udał się nad podziw (w kryterium ulicznym – najlepszym atakiem jest... ucieczka!).

Wszystkie działania zostały rozpisane na głosy i precyzyjnie wykonane, choć frekwencja była mniejsza niż w maju ze względu na nieobecność studentów, których musieli zastąpić licealiści (szczegóły w powieści „Selma”). Poza tym – na tak długiej trasie nie można było spodziewać się zwartej kolumny manifestantów. Za to po drodze było wiele miejsc uciezkowych na wypadek, gdyby jednak ZOMO przystąpiło do ataku przed godziną 17.45.

Ponownej napaści na ludzi spokojnie powracających z kościoła nie dało się jednak uniknąć. Należało spodziewać się większych sił ZOMO niż 3 Maja. A jeśli już tyle pał zbierze się w jednym mieście, to z całą pewnością zostaną użyte. I tak też się stało. Około 19.30 zaczynało zmierzchać, a w wielu dość przypadkowych punktach odbywały się różne utarczki. Rozpylono ogromne ilości gazu łzawiącego, parę osób pobito ciężko, zwłaszcza tych, którzy stali na przystankach, nie wiedząc o niczym. Nie uciekali, więc oberwali najwięcej.

*

Na dachach budynków przy ulicy 1 Maja pojawili się funkcjonariusze, wystrzeliwujący pojemniki z gazem łzawiącym w kierunku małych grup ludzi, wracających tą drogą z kościoła – dowód, że partia przygotowała swoje bijące serce do działania z odpowiednim planem i wyprzedzeniem. Obawialiśmy się snajperów, ale widziano tam tylko fotografów. Brak takich spostrzeżeń z innych miejsc, zwłaszcza, że robiło się coraz ciemniej, a gaz łzawił oczy. Gazowanie zaczęło się ok. 19.20 i trwało do późnej nocy. Broni ostrej – nie użyto. A to było ważniejsze niż sukces manifestacji.

STEMPLOWANIE AUTOBUSÓW

8 października 1982 – sejm PRL uchwalił nową ustawę o związkach zawodowych, na mocy której rozwiązano wszystkie związki, działające do 13 grudnia. Było jasne, że władza czuje się pewnie i będzie mnożyć represje. Należało na to jakoś odpowiedzieć. Tym razem w Gliwicach zrezygnowano z kolejnej manifestacji. To byłby prezent dla komunistów, którzy wyraźnie prowokowali wydarzenia, nadając się do widowiskowej pacyfikacji. Zdecydowała prosta uwaga, że komuna nie może wyznaczać nam ani formy działania, ani dnia, ani godziny!

Przeprowadzono więc zupełnie inną akcję, którą tak wspomina jej uczestnik – Kazimierz Michalczyk:

*Remiza tramwajowa i zajezdnia autobusowa były praktycznie w jednym miejscu. Do tej akcji Tadziu Belz przygotował pieczątki o wymiarach około 50x25 cm z napisem „**SOLIDARNOŚĆ**” **ŻYJE**. Jak zwykle Belz zawiózł nas (Spokojnego i mnie) na akcję i rano miał nas odebrać. Spokojny przygotował dla mnie nocleg w pobliżu remizy. Spotkanie uczestników akcji było z tyłu przy ogrodzeniu zajezdni.*

Dopiero wtedy mogłem zobaczyć te pieczątki. Fachowo i ładnie wykonane deseczki z gryfem do trzymania, na których naklejono litery, wycięte z czegoś w rodzaju gąbki. Po jednym zamoczeniu w farbie, można było parę razy pieczętować. Wspaniały patent, który oni sami wymyślili. Nieznany jest mi przypadek, żeby ktoś w Polsce w ten sposób robił.

Na akcję przyszli wyjątkowo wszyscy, którzy mieli przyjść, nawet zapasowe pieczątki zostały rozdane, a i tak dla jednej osoby brakło. Ponieważ ja byłem jedyną osobą, która miała dzieci, Spokojny kazał mi iść do domu. Jednak nie potrafiłem odejść.

Przez mur ogrodzeniowy obserwowałem, jak chłopaki sprawnie obskakują autobusy. Umówiono się, że pieczątki będą stawiane z tyłu – a widziałem, jak walą z tyłu, z przodu i po kilka razy z boku. Aż się serce radowało!

Po pewnym czasie zniknęli mi za autobusami. Czas ciągnął się niesamowicie. W oddali słyszałem tylko jakieś ruchy i szczekanie psów. Po jakiejś półgodzinie wrócili szczęśliwie wszyscy. Z ożywieniem opowiadali, jak oblecieli wszystkie autobusy. W miarę szybko rozeszliśmy się na kwatery.

Dobrze się stało, że rano przyjechał po nas Tadek Bełz, ponieważ nie jeździły ani autobusy, ani tramwaje. W drodze do domu widzieliśmy ogromne tłumy ludzi na przystankach. Spóźnienia do pracy były wielogodzinne. Na dodatek ubecja nie chciała dać za wygraną i ściągnęła autobusy z całego Śląska. Do nas przyjechały one i tak późno, a tam brakowało. Zapanował chaos w komunikacji na całym Śląsku.

Data: 08.10.1982

Sprzęt wykonął i transport zapewnił: Tadeusz Bełz

Udział w akcji: Tadeusz Drzazgowski, Kazimierz Michalczyk, Józef Dmowski, Grupa ze ZREMB-u i jedna osoba z Zabrza.

*

Według Drzazgowskiego – opieczętowano wówczas dokładnie: 150 autobusów! W oczach Drzazgowskiego pieczęcie miały rozmiar 60x30 cm i były wykonane z filcu lub gąbki. Tadeusz Bełz wykonał (również z filcu) „indiańskie” ochraniacze na buty, dzięki którym można było poruszać się bezszelestnie na asfalcie i po żwirze. Pracowało kilka zespołów dwuosobowych: jeden malarz trzymał pieczątki, drugi smarował je farbą i ten pierwszy przykładał napis do blachy pojazdu. Akcja miała charakter w pewnym sensie sabotażowy. Wyroki mogły być wieloletnie, więc Drzazgowski dopuścił tylko kawalerów.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

Tymczasowa Komisja Koordynacyjna ogłosiła ogólnopolski protest na 10 listopada 1982. Ale – jak we wszystkich przedsięwzięciach tej centrali – nie było tam żadnej koordynacji ani myśli konstrukcyjnej. Konkretnie formy należało wymyślić samemu. Kolejne ulotki. Tym razem format A5. Arkusze A4 trzeba było rozcinać.

Głównym hurtownikiem kolportażu był wtedy Kazimierz Michalczyk. Dość przypadkowa rewizja w mieszkaniu Michalczyka ujawniła jednak ostatnie 285 egzemplarzy nierozciętych i żadne tłumaczenia nie pomogły. Michalczyk został internowany. Wcześniej jednak zdążył uruchomić wiele grup. W kilku miejscach odbyły się strajki, ale też sporo ludzi straciło pracę. Były to koszty koncepcji TKK.

Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że akcja jest źle pomyślana. Aresztowanie Michalczyka, Grabary i Sawickiego utrudniło wykonanie kilku innych planowanych akcji. Najciekawsza manifestacja odbyła się 10 listopada na Wydziale Automatyki Politechniki Śląskiej (11.11.1982 – zakazane Święto Niepodległości Polski było w peerelu zwykłym dniem pracy). Akademicka Grupa Oporu sprzeciwiła się organizowaniu kolejnego marszu na ulicy Zwycięstwa ze względu na duże ryzyko, mały pożytek i niepewną, jesienną pogodę. I faktycznie – mimo płynących z różnych dziwnych stron zachęt – na ulicy Zwycięstwa było zupełnie pusto, a milicja zatrzymywała i legitymowała przechodniów na bocznych uliczkach już na kilkadziesiąt metrów przed wlotem na Zwycięstwa.

Na wezwanie AGO – studenci i naukowcy (wg SB: 300 osób, w tym 21 pracowników) w samo południe zaczęli krażyć korytarzami i schodami Wydziału Automatyki w wyznaczonym kierunku i przez kilkanaście minut było bardzo sympatycznie. Podobna manifestacja została zainicjowana między Wydziałem Górniczym a Elektrycznym, ale tam masa krytyczna nie została przekroczona i należytego efektu nie było. Nie odnotowano też żadnych represji na Politechnice. Już w roku 1968 można było zauważyć, że władza pozwalała studenterii na więcej niż robotnikom, ale pod warunkiem, że protest odbywał się w murach uczelni.

Dopóki nie wyglądało to bardzo groźnie, milicja nie interweniowała chyba z dwóch powodów. Po pierwsze jakoś

jednak utrzymywano mit o autonomii uczelni, a po drugie – wchodzenie do budynku, którego może bronić kilkuset wysportowanych młodych mężczyzn wymagałoby użycia ogromnych sił i mogło mieć nieprzewidywalne konsekwencje przez wiele lat.

Nie wszyscy zgadzają się z tą interpretacją i twierdzą, że studenci nie mieliby żadnych szans w starciu z ZOMO. Należy więc przypomnieć, co naprawdę działo się w PRL-u. Zakłady przemysłowe pacyfikowano seryjnie, w tym nawet kopalnie i huty. Natomiast uczelni nie atakowano. Wyjątek stanowi marzec 1968. Wtedy jednak nie chodziło o spacyfikowanie studentów, ale o zupełnie inne rozgrywki, w których uczelnie, w tym zwłaszcza Uniwersytet Warszawski, użyte były narzędziowo. Podobnie – tuż przed stanem wojennym urządzono pokaz siły pod małą uczelnią oficerów pożarnictwa. Ale wewnątrz uczelnianych budynków komuna nie poważyła się na pacyfikację nigdy.

Poza „Manifestacją Gliwicką” i „AGO” w Gliwicach wychodziły również inne gazetki. Po 11 listopada Drzazgowski spotkał się z przedstawicielami „RIS-a”, „OKO” i „Bibuły”. Było to bezpośrednio po podsumowaniu marnych (w skali kraju) rezultatów akcji, zarządzanej przez TKK. Drzazgowski reprezentował najaktywniejszą na Śląsku strukturę, która przeprowadziła wiele fantastycznych akcji, nauczyła się samodzielności i nie była w stanie podporządkować się papierowym strukturom regionalnym, które mogły się pochwalić co najwyżej demokratycznym mandatem z zupełnie innych czasów. Drzazgowski zrezygnował więc ze współpracy z nic wówczas nie znaczącym Regionalnym Komitetem Wykonawczym NSZZ „S”. Sprawa była wcześniej przedyskutowana w Delegaturze. Potrzebowaliśmy papieru, farby drukarskiej, pieniędzy i wielu konkretnych materiałów. RKW oferował nam tylko pomysły. My mieliśmy lepsze, więc do współpracy nie doszło.

W tle istniała jeszcze obawa, że być może na poziomie centralnym pojawi się wkrótce V Komenda WiN-u. Poza tym wypracowaliśmy wcześniej koncepcję „wysp oporu”, którym żadna organizacyjna czapa nie była potrzebna. Mieliśmy jedną w całym kraju, wspólną ideę, stosowaliśmy podobne (w ogólnych zarysach) środki, dążyliśmy do wspólnego celu, a – jak się okazywało – centralnie koordynowane akcje były zupełnie bezwartościowe w porównaniu z tym, co robiliśmy sami.

Każdy miał radio, słuchaliśmy „Wolnej Europy”, więc w dowolnej chwili mogliśmy przystąpić do ogólnopolskiej akcji, gdyby ktoś wiarygodny ją ogłosił. Ale ci, na których liczyliśmy najbardziej – milczeli lub pletli trzy po trzy.

WYSPA OPORU

Każda dodatkowa łączność zwiększała ryzyko wpadki, więc kontakty nieefektywne należało przerywać i rozbudowywać własną sieć oporu. Niewykluczone, że wówczas – zgodnie z dyrektywami TKK – należało nic nie robić. Ale wtedy nie byłyby potrzebne żadne struktury. Wystarczyłoby: po pierwsze – wsadzić ręce do kieszeni, po drugie – przez siedem lat ich stamtąd nie wyciągać.

Takie też przemyślenia zostały opublikowane w artykule „**Wyspa oporu**”, opublikowanym w styczniu 1983 r. w ostatnim, redagowanym w stanie wojennym przez Jarczewskiego, numerze „Manifestacji Gliwickiej” jako organu Gliwickiej Delegatury NSZZ „Solidarność”.

Nad sformułowaniem „wyspa oporu” odbywały się groteskowe spory. Krytycy słusznie zauważali, że „Solidarność” nie miała delegatur, że legalnie mogła istnieć tylko delegatura struktury regionalnej, czyli RKW lub czegoś innego (było kilka struktur).

Nie podejmowano dyskusji z takimi absurdami, wyrażanymi zresztą w napastliwym tonie w „RIS-ie” i gdzie indziej. Mieliśmy prawdziwych wrogów, więc nie walczyliśmy z kolegami o innych poglądach.

„Manifestacja Gliwicka” była wydawana przez równe 7 lat przez różne grupy. Ostatni numer (pod redakcją A. Jarczewskiego) wyszedł 3 Maja 1989 i był zaproszeniem na manifestację przed pierwszymi, częściowo demokratycznymi wyborami pod gliwickim hasłem:

Na razie bierzemy 35% demokracji!

Manifestacja odbyła się w atmosferze wielkiego entuzjazmu, co zapowiadało druzgocące zwycięstwo w nadchodzących (4 czerwca 1989) wyborach do sejmu kontraktowego.

*

Przez te wszystkie lata wielokrotnie zmieniał się skład Delegatury. Drzazgowski – nadal działając na wielu frontach – w roku 1983 oddał kierownictwo gliwickiej struktury działaczom, którzy wrócili z internowania. W grudniu 1982 odbyło się jedyne w historii spotkanie całego składu Delegatury, które go upoważniło do takiego kroku. Drzazgowski zbliżył się do „Solidarności Walczącej”, a redakcję „Manifestacji Gliwickiej” na kilka lat przejął Piotr Kowrygo (zm. 1988), który był zwolennikiem podporządkowania Delegatury Regionalnemu Komitetowi Wykonawczemu. Starszy konspiratorzy nadal utrzymywali kontakt z nową Delegaturą, współpracowali w zakresie druku i kolportażu, ale działań na skalę przedsięwzięć tu opisanych – kolejne garnitury Delegatury już nigdy nie podjęły.

Andrzej Jarczewski

Poniżej – jedna z kilkudziesięciu linorytowych ulotek, wykonanych i masowo kolportowanych przez braci [Jana](#) i [Józefa Jaroszewiczów](#) w Gliwicach w pierwszych latach stanu wojennego.

